



Wojciech Mierzwa

część II z II

Sygnatura notacji: **N0734**

Data urodzenia: **29.01.1947 r.**

Data nagrania: **29.04.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka Kraków Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Grzegorz Łeszczyński**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 25 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wojciech Mierzwa: Opowiadałem o tym niedawno, mogę powtórzyć, jeśli Pan Doktor pozwoli. Był to rok 1981, 1982, trudno mi już w tej chwili sobie przypomnieć. Ktoś z Warszawy z Urzędu Bezpieczeństwa, pułkownik chciał się koniecznie z ojcem spotkać. To był właśnie ten czas takich wielkich spraw w Polsce, które się działy. Festiwal „Solidarności”. Ojciec nie zgadzał się na to, żeby ktoś do niego przyjeżdżał do domu z Urzędu Bezpieczeństwa. „Jak mnie wezwiecie, oficjalnie przyjdzie pocztą wezwanie, zamelduję się, stawię się tam, ale do domu...”. Zaczęto ojca naga-bywać, że w tym wieku, a już był schorowany, że to ma być rozmowa, nie jakieś wielkie rzeczy, tylko taka wstępna. W końcu ojciec się na to zgodził. O tym spotkaniu mówił w wywiadzie mój świętej pamięci brat Wincenty, ale mówił to jako osoba taka trzecia, a ja byłem świadkiem bezpośrednim. Mianowicie ojciec zgodził się, żeby pan pułkownik przyjechał z Warszawy do niego do mieszkania na rozmowę. I ojciec wcześniej mi o tym powiedział, mówi: „Słuchaj, synu, będzie wizyta wysokiego oficera UB, jakbyś mógł być w rejonie tutaj gdzieś blisko, jakby się coś działo, to bym cię bardzo prosił”. Zaparkowałem tę konstrukcję mechaniczną o nazwie Syrena naprzeciwko kamienicy przy ulicy Bema. To tak przez ulicę, przez taki zbieg ulic, może te 40 metrów, 50 metrów w linii prostej, widziałem całą kamienicę. Tam jeszcze nie było wtedy zakazu parkowania, zatrzymywania się nawet, tak jak obecnie. O umówionej godzinie przyjechały dwa samochody. Pierwszy Fiat 125p. I za nim też Syrenka. Z Fiata wysiadł postawny mężczyzna i poszedł do kamienicy. Kierowca w Fiacie został. I w tej Syrenie dwóch takich dobrze zbudowanych panów siedziało. Tam był i jest nadal zakaz zatrzymywania się. Ale ich to nie obowiązywało. Ta wizyta tego pana u ojca trwała godzinę, może trochę dłużej. Po, wsiedli do samochodu, odjechali. Ja poszedłem do ojca zobaczyć, czy coś się nie stało, jak się czuje. Miałem klucze oczywiście od mieszkania. Ojciec w dobrej kondycji, wszystko w porządku. Co się okazało? Pan pułkownik przyjechał przepytać ojca, co właśnie sądzi o „Solidarności”, o ruchach, tak jak Pan Doktor mnie przepytuje.

Co ojciec odpowiedział, tego nie wiem, ale mi powiedział, jak zakończyła się rozmowa, że pan pułkownik poprosił, spytał ojca, czy mógłby jeszcze kiedyś przyjechać już prywatnie, bo myśli podjąć temat pracy doktorskiej i chciałby prosić ojca jako konsultanta. Tak się skończyła rozmowa pułkownika Służby Bezpieczeństwa w mieszkaniu przy ulicy Brodowicza 3. Więc taki był stosunek ojca, pyta Pan, do podsłuchiowaczy, do tych spraw.

Grzegorz Łeszczyński: A przyjechał jeszcze ten pułkownik?

Wojciech Mierzwa: Chyba nie. Chyba to było jedyne spotkanie. Przykre to, jak tutaj w rodzinie opowiadam, że ojciec, który chwalił się tym, że umrze jako jedyny nieodznaczony w tym kraju, rzeczywiście nie dostał za życia żadnego odznaczenia państwowego. Jedyne to był taki znaczek adwokatury, Złota Odznaka Honorowa Adwokatury. W żartach mówiłem, że ojcu powinni przyznać jakiś dobry order w tamtym czasie, bo dał zatrudnienie kilkudziesięciu ubekom, esbekom, nie wiem, jak ich tam nazwać, donosicielom itd., którzy wytworzyli ponad 6000 stron donosów. Są, każdy może do nich się dostać, może je oglądać, przeczytać w naszym portalu rodzinnym.

Grzegorz Łeszczyński: Czy wie Pan, czy ojciec utrzymał kontakt z emigracją polityczną, z PSL-em chociażby na emigracji? Mikołajczyk na przykład, też mówiliśmy o Witosie, a druga taka postać też.

Wojciech Mierzwa: Nie wiem wiele, raczej nie utrzymywał kontaktów z emigracją. Wiele słów krytycznych wypowiedział o wielu osobach, ale to wiem też z jego wspomnień spisanych, a nie z rozmów. Natomiast wiem, że kontaktował się z panem, chyba na imię Józef, Migatą. Józef Migata chyba był w Chicago właścicielem stacji radiowej. Tutaj w Polsce, o ile dobrze pamiętam, obronił doktorat tematycznie związany właśnie chyba ze stacjami, z rozgłośniami radiowymi w Stanach Zjednoczonych, ale to tak jak przez mgłę. I jak przyjeżdżał pan Migata, a to był działacz, który się znał z ojcem jeszcze sprzed wojny, jak przyjeżdżał do Polski do Krakowa, tu miał mieszkanie w Krakowie, to wiem, że spotykali się z ojcem, raz nawet odbierałem go z pociągu i zawoziłem do jego mieszkania gdzieś w okolicach ronda Mogilskiego. Tam gdzieś chyba czy córkę miał, która tu mieszkała. Już szczegółów nie pamiętam. To był ten pan, którego ja kojarzę, którego widziałem, którego nazwisko pojawia się w dokumentach związanych z przedwojennym ruchem ludowym. Tu z krakowskim ośrodkiem. A tak z pozostałymi nie wiem o jego kontaktach. Miał taki stosunek dość, taki, nawet nie wiem, jak to nazwać. Jeden z moich kolegów, jeśli nie nazwać przyjaciół, wracał z Anglii, z Londynu i wiozł jakąś przesyłkę. Listy, może dokumenty z Londynu, które mu dano dla ojca, żeby przekazał ojcu, bo mieszkaliśmy blisko siebie. I ojciec go nie przyjął, podejrzewając, że to jest prowokacja. Ten kolega do tej pory mi nie może tego wybaczyć. Spotykamy się raz na kwartał. I mówi: „Wiesz co, jaki ten twój ojciec. Przecież tyle mogliśmy. Ja nie wiedziałem o wielu sprawach”. Tak że ojciec pilnował się. O Witosie to było od rana do wieczora. Tu spotykaliśmy się, imieniny, urodziny. U nas, u jednego brata, u drugiego brata, u ojca. Chrzcziny, imieniny, mikołaje. O rodzinie, o tym, o tamtym, ale pod koniec, po pół godziny, po godzinie schodziło na ruch ludowy i Witos. I wszyscy słuchali, o dziwo, mimo że przyszli coś zjeść, wypić kieliszek wina czy czegoś mocniejszego. Nie było. Rozmowa, polityka, Witos tak i Witos to.

Grzegorz Łeszczyński: Rozumiem, że ten Witos był obecny i przekaz był bardzo pozytywny, jednoznaczny.

Wojciech Mierzwa: Oczywiście. Imponował ojcu od najmłodszych lat i pewnie dlatego tak później postępował. Zafascynował się tą postacią. Przy tego typu spotkaniach, bo tak to nie rozmawialiśmy, ale „A Witos to się uczył, chociaż do szkoły nie chodził, a ty” – do wnuków. To były tego typu.

Grzegorz Łeszczyński: A czy to był, rozumiem, powód też, dla którego ojciec związał się w ogóle z ruchem ludowym przed wojną, na początku lat 30.? Witos, podawał to jako powód?

Wojciech Mierzwa: Tak, myślę, że tak, oczywiście.

Grzegorz Łeszczyński: Bo on był wtedy już postacią znaną, prawda?

Wojciech Mierzwa: Tak, tak. To gdzieś jest opisane właśnie, jak ojciec pierwszy raz zobaczył Witosą. I zafascynował się jego postacią, jego przemówieniem, jego postępowaniem później. I to mu się nie tylko spodobało, ale sam chciał też coś zrobić. I tak to było. Najpierw, ja powtarzam, że był uczniem, później współpracownikiem, a niektórzy mówią, że później jeszcze nawet przyjacielem. Nie wiem, czy był przyjacielem, bo przecież to była różnica pokoleń. Ale na pewno był blisko. Podobnie matka zafascynowała się Witosem. Też przecież współpracowała z Witosem, opiekowała się Witosem.

Grzegorz Łeszczyński: Właśnie, jakby Pan mógł powiedzieć troszeczkę coś na ten temat. –

Wojciech Mierzwa: Matka urodziła się, wychowywała, dzieciństwo w podkrakowskiej wsi. Później liceum. To się chyba nazywało Gimnazjum w Krakowie i studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zetknęła się z młodzieżowym ruchem ludowym, spotkała się z takim akademikiem Stanisławem Mierzwą. I tak się to zaczęło. A skończyło się w 1936 roku ślubem, jest fotografia, jest gorset tutaj na ścianie, w którym matka wystąpiła na weselu w Kościelnikach. Później przy ojcu, czyli swoim mężu, jakoś zafascynowała się Witosem. A o tej opiece, kiedy Witosą przywieziono do Wierzchosławic w 1945 roku. Matka zostawiła dzieci, trójka, mnie jeszcze nie było na świecie, w Wierzchosławicach była opiekunką Witosy. To ona namówiła Witosę, żeby się zgodził do przyjazdu do szpitala do Bonifratrów w Krakowie. Początkowo sądziłem, bo tak był, ktoś mówił, że matka zamknęła oczy Witosowi, jak zmarł, ale to się okazało, że ojciec, natomiast matka, dlaczego nie matka, bo w tym czasie była gdzieś obok w szpitalu, dyżurowała czy odpoczywała, a zastąpił ją ojciec, czyli mąż. I ojciec zamknął Witosowi oczy, jak zmarł na łóżku szpitalnym. Tak że wkład matki też jakoś jest w to życie Witosowe. I tyle, więcej cóż można powiedzieć.

Grzegorz Łeszczyński: Czyli ojciec był przy tych ostatnich chwilach Witosy?

Wojciech Mierzwa: Tak, tak. Ojciec, właśnie matka przygotowała miejsce w szpitalu u Bonifratrów. Najpierw była w Wierzchosławicach, namówiła Witosę, bo bronił się przed tym, już ciężko schorowany. Jak się okazało, niedługo później zmarł. Ale nie chciał się zgodzić na wyjazd do Krakowa. Matka go właśnie namówiła, była tam na miejscu. Przyjechała do Krakowa, przygotowała tutaj, z przeorem załatwiła, żeby Witosę przyjęto do szpitala, jakichś tam lekarzy, organizacyjne sprawy, a ojciec osobiście samochodem stronnictwa przywiózł go z Wierzchosławic do szpi-

tala i dyżurowali przy nim. Jak się okazało, w ostatniej chwili ojciec był przy Witosie. Jest takie piękne zdjęcie matki przy łożu śmierci Witosy. Jest matka, jest wnuk Wincentego Witosy, też Wincenty. I przyjaciele rodziny Witosów, już nazwiska w tej chwili nie pamiętam. Tę fotografię przekazałem do IPN-u. Matka też była jakoś tam, nie jakoś, też mocno związana z ruchem ludowym.

Grzegorz Łuszczynski: A ktoś z Pana rodzeństwa się zaangażował jeszcze w działalność ruchu ludowego?

Wojciech Mierzwa: Moi bracia, jeden i drugi, Jacek i Wincenty, zapisali się do tego nowego PSL-u. Byli członkami PSL-u.

Grzegorz Łuszczynski: Tego już po 1989?

Wojciech Mierzwa: Tak, tak, tak. PSL-u, nie ZSL. A wcześniej bezpartyjni. A ja od urodzenia do dzisiaj i niech tak zostanie. Nie należałem, nie należę, chociaż też namowy były.

Grzegorz Łuszczynski: Rozumiem, że ze względu chociażby na nazwisko, tak?

Wojciech Mierzwa: Nie, nie ze względu na nazwisko i nie do ZSL-u ani nie do PSL-u, tylko do lepszej organizacji, do partii.

Grzegorz Łuszczynski: Aha, a czy jakiś ruch ludowy np. nie próbował Pana wciągnąć? Żeby firmował Pan trochę może też swoją osobą poczynania?

Wojciech Mierzwa: Takie delikatne, że może, też bracia do mnie mieli trochę pretensji, że się nie angażuję, ale, Panie Doktorze, myślę sobie, że ojciec, ale to jest mój domysł, mnie troszkę zostawiał na boku jako takiego, nie wiem, jak to nazwać, libero, niezaangażowanego.

Grzegorz Łuszczynski: Pan był najmłodszy, tak?

Wojciech Mierzwa: Tak, najmłodszy. Najmłodszy i jedyny żyjący jeszcze. Reszta rodzeństwa starszego zmarła już. Tak mi się wydaje, że ojciec chciał, żebym pozostał taki, nie mówił tego nigdy, ale żebym pozostał neutralny i patrzący trochę z boku na te wszystkie sprawy. Takie mam odczucie. Natomiast po stażu w budownictwie, po skończeniu studiów, 3 lata miałem taki staż na budowach w dawnym wielkim województwie krakowskim, podjąłem pracę na uczelni jako starszy asystent. I wtedy zaczęły się namowy, żeby się zapisać. I tak to było. I to były takie propozycje, bym powiedział, prawie że nie do odrzucenia. „Wiecie, kolego, młodzi jesteście, my takich potrzebujemy”. To już wcześniej w przedsiębiorstwie tak było. „To byśmy może staż skrócili w przedsiębiorstwie”. „Panie dyrektorze, ale to są tak trudne zagadnienia, że ja spokojnie chcę dwuletni staż odbyć, żeby być dobrym inżynierem”. Skrócili do roku, bo jakoś sobie radziłem. Podobnie na uczelni. Sekretarz wydziałowy, jakieś podchody. W końcu powiedziałem tak

po męsku, żeby się ode mnie... Na drugi dzień mnie zaprosił, zaproponował przejście na mówienie sobie po imieniu. Mówi: „Słuchaj, jesteś pierwszy, który mi tak uczciwie, otwarcie powiedział, że bym się od...czepił”. Ja inaczej powiedziałem. I odtąd byliśmy dobrymi znajomymi. Tak że jakoś udało mi się przeżyć bez pomocy. Była wielka uroczystość oddania nowych budynków przy alei 29 Listopada. To jest wjazd do Krakowa. Być może nawet panowie tamtędy wjeżdżali, chociaż może nie. Wielka uroczystość, ministrowie z Warszawy, władze Krakowa, najwyższe partyjne, administracyjne. Wojtaszek, Tadeusz Wojtaszek, rektor Tadeusz Wojtaszek. Ojciec chodził w grupie dwóch, trzech kolegów do rektora Wojtaszka wcześniej załatwiać jakąś sprawę. Prosić rektora o ułatwienia w studiowaniu, a raczej w dostaniu się na studia rolnicze młodzieży ze wsi. Zwłaszcza z tych wsi takich odległych od ośrodków akademickich. Chodzili do rektora, żeby jakieś punkty, jakieś preferencje, bo ci ludzie mają trochę trudniej dostać się na studia. I później, jak już dostaną się na te studia, żeby im ułatwić jakoś dostęp do miejsc w akademikach, z takimi problemami ojciec chodził do rektora Wojtaszka. Dla towarzystwa brał najczęściej pana doktora Mazurka, przyjaciela też z dawnych, z dawnych lat i innego przyjaciela, pana Kabata, zresztą sądownego również w procesie krakowskim. Najczęściej ta trójka chodziła do rektora Wojtaszka w tych sprawach. I kiedy były uroczystości otwarcia nowego budynku przy okazji nowego kampusu, akademików, rektor Wojtaszek nie zapomniał o ojcu i ojca też zaprosił na tę uroczystość. Były przemówienia, laudacje, pan rektor Wojtaszek, jakie to osiągnięcie było, rzeczywiście, był nie tylko uznanym autorytetem naukowym w Polsce, w Europie, ale świetnym organizatorem. A przy tym był takim na milimetry, punktualnie, wszystko musiało być jak w zegarku. Przemówienia, po tych oficjalnych przemówieniach głos zabrał również ojciec. Chwalił rektora Wojtaszka, że tak właśnie pamięta o wsi, że sam wyszedł ze wsi, nie zapomniał, nie wstydzi się pochodzenia wiejskiego. I na końcu ojciec powiedział: „Należy do partii, ale porządny człowiek”. Tak o rektorze Wojtaszku powiedział. Sala zamilkła, to było w wielkiej, pięknej auli amfiteatralnej. Ludzie zamilkli, a po chwili wielkie brawa ojciec dostał. Chociaż należy do partii, to bardzo porządny człowiek. Więc taki miał stosunek do partii, z jednej strony bardzo negatywny, ale do ludzi niektórych. I podobnie było z ZSL-em. Też miał negatywny stosunek do ZSL-u, ale w tym ZSL-u widział ludzi porządných, jak on to nazwał. Jeszcze dodam taką ciekawostkę, że po tym otwarciu, po tej uroczystości wracałem ze swoim szefem, profesorem, takim mocnym człowiekiem w naszej branży. Był przewodniczącym Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, to w tamtych czasach było ważne stanowisko.

Grzegorz Łeszczyński: Który to był? Pamięta Pan może?

Wojciech Mierzwa: Profesor Piotr Prochal, jak ojciec żył, czyli to było gdzieś zaraz po 1980 roku chyba, to gdzieś tak ten okres, a może wcześniej. To jest do ustalenia, otwarcie nowych budynków Wydziału Ogrodniczego. Wracam ze swoim szefem, który był nie tylko szefem katedry, ale w tym czasie prorektorem u Wojtaszka właśnie, profesorem Wojtaszka. I mój szef: „Panie Mierzwa, a czemu pan nie mówił, że pana ojciec zna Wojtaszkę?”. Ja mówię: „Panie profesorze, a dlaczego miałem o tym mówić? Po co?”. Jak rektor Wojtaszek dzwonił do mojego szefa, to mój szef wstawał i na stojąco odbierał telefony, bo to był taki, rzeczywiście, chociaż sam był nietuzinkową postacią. Mówię o swoim byłym szefie świętej pamięci.